

The background features a large, dark, wavy shape in the center. To its left and right are red areas with different patterns: vertical lines on the left and horizontal lines on the right. A yellow shape overlaps the top of the dark shape.

NAFTOWA WENUS

ALEKSANDR SNIEGIROW

GLOW BOOK
WYDAWNICTWO

NAFTOWA WENUS

ALEKSANDR SNIEGIRIOW

Tytuł oryginału: Нефтяная Венера
Autor w oryginale: Снегирев Александр

Tłumaczenie: Borys Hass

Copyright © Aleksandr Sniegiriow
Copyright © for the Polish translation by Glowbook, 2022

Wydawnictwo Glowbook
ul. Kolegiacka 2/2
98-200 Sieradz
kontakt@glowbook.net

Projekt okładki:
Gabriela Mendes – @gabsagency

Redakcja i korekta:
Julia Szypulska

Skład i łamanie:
Justyna Kramarz – Studio Grafpa, www.grafpa.pl



Druk:
druk-24h.com.pl

ISBN 978-83-960385-6-2

Mojej rodzinie.

Rimmie Kazakowej.

*Podziękowania dla Olgi Stołpowskiej za pomoc
w pracy nad tą książką.*

CZĘŚĆ

PIERWSZA

Czerwcowy poranek, nie ma korków. Z drugiej strony, jakie mogą być korki w dzień powszedni przy wyjeździe z miasta. Jadę sto dwadzieścia lewym pasem i mam nadzieję znaleźć się na daczach już za jakieś dziesięć minut. Szosa wiję się pośród wsi i wioseczek tonących w różowawo-złocistym świetle.

Mama pilnie mnie wezwała, żebym odwiózł ją do miasta na USG. Wszystkie jej sprawy mają status pilnych. Bez paniki i zamętu nie zrobi niczego. A tu jeszcze wahadełko podpowiedziało. Wahadełko – ciężarek na nitce, który odpowiada na każde pytanie. Wahadełko mama się radzi w każdej, nawet najdrobniejszej, sprawie. Kręci się to draństwo zgodnie z ruchem wskazówek zegara – więc „tak”, w odwrotną stronę – „nie”. Teraz „powiedziało”, że trzeba pilnie zrobić USG. PILNIE! Że może to rak. Co za brednie...

Przejeżdżam obok rynku, gdzie można kupić sadzonki roślin ogrodowych. Pośród jabłonek z korzeniami zawiniętymi w workowatą tkaninę buszują miesięczne szczenięta. Ich kudłata mama odpoczywa obok, wystawwszy na słońce bok.

Wkrótce wyjeżdżam... Siądę w miękkim fotelu biznes klasy i polecę... Trafiło mi się znakomite zlecenie – wystrój wnętrza willi bogatych Rosjan w Miami. Lecę za dwa tygodnie. W paszporcie już mam wizę USA, bilety kupione. Już jestem podekscytowany życiem w rozkosznych kurorcie i nienerwową, zajmującą pracą.

Mój garbus już jedzie przez zarośnięte ulice pośród starych dacz. Nasz sztachetowy płot, łuszczący się warstwami starej farby, przypomina zalane towarzystwo: jeden słup słania się na prawo, drugi na lewo, a trzeci – wypchnięty z ziemi któregoś tam zimy – pnie się do góry.

Wychodzę z samochodu. Do bramy spieszy rozradowany Wania. Całkiem jak niedźwiadek na wybiegu, zdziwiony, że pracownik zoo przyniósł jedzenie.

– Cześć! Cześć!

– Cześć, pomożesz otworzyć?

Wania próbuje odciągnąć jedno skrzydło bramy, które osiadło i wczepiło się w ziemię.

– Trzeba to podnieść, Wania.

Stękając, otwieramy garbusowi drogę.

– Mogę się z tobą przejechać? – pyta Wania, ogarnięty pragnieniem wśliźnięcia się do samochodu.

– Dawaj.

Sadowi się na sąsiednim fotelu i zaczyna pod nim grzebać, szukając dźwigni. Siedzenie jest za bardzo odsunięte – Ola ma długie nogi. Ruszam z miejsca.

– Zaczekaj, jeszcze nie zapiąłem pasów! – krzyczy Wania.

– Ależ tu jest dwa metry jazdy!

– Stój! Niezapięci płacą mandat!

Trzeba się zatrzymać, pomóc Wani znaleźć zapięcie do pasa i przysunąć fotel, żeby miał wygodnie. Teraz Wania jest zadowolony.

– Jak tam w pracy?

– Normalnie – odpowiadam, wjeżdżając. – Pomalutku.

Nie lubię tego rodzinnego wypytywania o pracę. A do tego Wania ma zwyczaj interesowania się wszystkim, całkiem jak moja matka. Interesowania się i dawania rad. A oto i ona...

Wania znów zмага się z pasami, trzeba go odpiąć. Wsiadamy z samochodu.

– Cześć, mamó – całuję jej chłodny policzek. Mama postarzała się. Zmarszczki, sylwetka.

– Cześć. – Mama jest przeziębiona i w złym nastroju. Twarz ma napiętą, widać, że jest z czegoś niezadowolona. I jeszcze ten katar.

Ze stopni werandy schodzi ojciec. Krzepki mężczyzna z siwym językiem na głowie. Przyjaciół pułkownik dawno temu dał mu w prezencie spodnie w kolorze khaki z Afganistanu. Na daczycy ojciec z nich nie wychodzi, przez co staje się podobny do dzielnego rezerwisty. Uśmiecha się.

– Cześć, tato. – Jego też całuję. Policzek ojca kłuje niedostrzegalną szczecina, jak w dzieciństwie, kiedy całował mnie przed snem. Tylko że teraz odpowiadam mu nie delikatnym dziecięcym policzkiem, lecz także kluciem.

– Jak zdrowie? – interesuje się mama.

– W porządku.

– Czytasz stronę dwusetną? – interesuje się mama. – Niedawno zaopatrzyła mnie w niezwykle modlitewnik ze starożytnej egipskiej świątyni. We współczesnym wydaniu, rzecz jasna. Na stronie dwusetnej jest tam szczególnie ważna, jej zdaniem, modlitwa: „Nie żądam opłakiwania innych, nie pozbawiam dziecka mleka”... Mama dopisała: „Słucham we wszystkim rodziców”, a jedną linijkę starannie zamazała. Długo przyglądałem się jej pod światło i ustaliłem, co tam było napisane. „Słucham tylko Boga”...

– Czytam.

– Naprawdę czytasz, czy tylko mnie tak mówisz? – naciska mama.

– Galino, nie zaczynaj znowu... – ojciec bierze ją za łokieć.

– A ty się nie wtrącaj! – przerywa mu mama. I tak powitali syna...

By opiekować się Wanią, mama zrezygnowała z pracy i zajęła się religiami, wróżbami i rozmowami z Najwyższymi Siłami Kosmicznymi. Odpowiedzi tychże sił „przekazuje” owe wahadełko. Do niedawna przelewała pieniądze uzdrowicielowi Siemienkowowi za to, że ten zdalnie „leczył” Wanię. Mama nawiązała znajomość z jasnowidzącą Iriną, była księgową, która codziennie udziela jej porad. Mama często w zachwycie opowiada o życiu tejże jasnowidzącej: „Matka Iry była wiedźmą. Kiedy Ira odmówiła stania się wiedźmą, matka poddała ją działaniu programów czarnej magii i o mało nie zabiła. Ira przeszła śmierć kliniczną, ale przeżyła. Ira rozmawiała z Jezusem Chrystusem. Powiedział, że jeszcze nie pora, by umarła, że ma misję na Ziemi...”.

– Przeziębłaś się? – pytam.

– Tak, ojciec nie zamknął okna, zrobił przeciąg.

Tata krzywi się, kiwa głową.

– O, jaką macie tu huśtawkę! – wołam z przesadnym zachwytem, żeby rozładować sytuację.

Wania natychmiast rzuca się na siedzisko i zaczyna się bujać, demonstrując zalety huśtawki. Mama nie poszła jednak na ustępstwa:

– Wahadełko powiedziało mi, że rzucono na ciebie urok. Jak byłam młoda, też w nic nie wierzyłam. Tylko Bóg może pomóc. Módl się do Boga. Masz wiele grzechów. Już uwolniłam cię od czterystu... nie, siedmiuset grzechów z minionego życia, oczyszczam twoją karmę modlitwami, ale sam też powinienes się modlić.

Mamo, ja się modlę.

– Galu, daj człowiekowi odpocząć po podróży – znów próbuje włączyć się do rozmowy tata.

– Cały ojciec! – oskarżycielskim głosem najężdża na mnie mama. – W nic nie wierzysz! Dlatego masz kłopoty ze zdrowiem, cała twarz w pryszczach!

– W jakich pryszczach...? – Machinalnie dotykam policzków. Kiedy okazało się, że Wania jest chory, miałem stan zapalny twarzy na tle nerwowym, ale było to tysiące lat temu.

– Mamo, jesteś aby przy zdrowych zmysłach? Nie mam żadnych pryszczycy! Zaciąłem się brzytwą!

Chciałaby, żeby wszyscy wokół chorowali. Wtedy okazałoby się, że ma rację. Jeśli ludzie są zdrowi i szczęśliwi, znaczy to, że jej teorie o czarach i rzucaniu uroków – to bzdura.

Nasze relacje nie ulegają zmianie przez lata: mama prowokuje mnie do bycia szorstkim, przez co zaczyna się skandal. Powiedziawszy zbyt wiele, czuję się winny i idę do niej z przeprosinami. Ileż to razy przekonywałem siebie, żeby nie reagować na jej wskazania, lawirować – nic mi z tego nie wychodzi. Prędzej czy później potrafi wyprowadzić mnie z równowagi.

– Odkryłam twoje grzechy z przeszłego życia: cudzołóstwo, zdradę... I wszystko przez to, że nie wierzysz w Boga!

– A skąd ty możesz wiedzieć, że nie wierzę?! – krzyczę. – Bóg! Znalazła się oświecona! Może go w ogóle nie ma!!! – Ups... akurat tego nie należało mówić...

Wania nie lubi kłótni, więc schował się na werandzie, zasłoniwszy uszy drobnymi dłońmi.

– Jak to – nie ma?! Trzeba się modlić! Szanowny Jezusie Chrystusie, pomóż mi, proszę... i tak dalej! A ty się modlisz?!

A odpieprz się ode mnie...!

– Fiedia, nie mów tak do mamy! – Twarz ojca ciemnieje, oczy wściekle się poruszają. Brak panowania nad sobą odziedziczyłem po nim.

Macham rękami i uciekam do ogrodu. Mijam starą szklarnię, zamienioną w altanę. Mijam sękaty jabłonie – kora na nich się łuszczy, tak jak farba na płocie i na niebieskich okiennicach domu. Za jabłonią sosny i osiki. Ich pnie są chropawe i pomarszczone. Tak jak cera gospodarzy...

Kopię, co wpadnie pod nogi. Zabawkowa żelazna ciężarówka. Trafiam nią w szkło szklarni. Brzęk. Do diabła! Zabolęła noga... Złość minęła natychmiast.

Masuję palce stopy, siadam w kucki, biorę mały samochodzik na ręce, jak dziecko. Zardzewiał i smutnie skrzypi. Wybacz, stary.

Chwała Bogu, że wkrótce stąd spadam! Przez całe kilka miesięcy nie będę widział całego tego mutyzmu¹.

Wracam do domu. Na ławeczce siedzi ojciec z Wanią. Matki nie ma.

– Bądź łagodniejszy, jest nerwowa, przecież wiesz, że... – zaczyna ojciec, krzywiąc się tak, jak się krzywi, kiedy mówi o jakimś głupstwie.

– Nie masz pojęcia, jak mam jej dość! Krew mi wypija!

– Nie wolno tak mówić o mamie, ona jest dobra – pouczająco powiada Wania.

– Wania, tylko ty nie zaczynaj...

Siadam przy nich. Trzech mężczyzn, trzy pokolenia rodziny siedzą przy ścianie z bierwion domu – zbudowanego przez ich przodka, mojego dziadka, ojca taty, Wani pradziada. Był bohaterem wojennym, generałem, dostał ten kawałek ziemi pod koniec lat czterdziestych, wtedy też zbudował dom. Większość parteru zajmuje przestronny pokój gościnny. Obok jest pokój, kuchnia i łazienka z prysznicem. Na pierwszym piętrze dwie sypialnie. Jest jeszcze wielka letnia weranda, oszklona ramami w kształcie rombów. Stoi tam prostokątny, sklecony przez ojca z desek stół, przy którym jadają latem. Jesienią pod stołem szeleszczą suche liście.

– Kiedy będzie gotowa? – pytam ojca.

– Za chwilę. Przed USG musi wypić rycynę. Chcesz herbaty?

Po co ta rycyna?

– Na przeczyszczenie. Pogoniła mnie po nią do apteki.

Prycham, demonstrując pogardę do jej kaprysów.

– Wszystkich nas przeżyje!

Tata prosi do stołu, nalewa herbatę, częstuje sernikiem.

– Dopiero co upiekłem. Spróbuj.

Próbuję. Jak zawsze smaczny. Mój tata jest specem od serników.

– Nie martw się – uspokaja ojciec. – My tu z Wanią niedługo zaczniemy pracować jako dozorczy. – Obejmuje Wanię, ten szeroko się uśmiecha.

– Niby gdzie?

– W „Mediterranie”.

„Mediterran” – francuska restauracja w bocznym skrzydle domu, w którym mieszkają rodzice.

¹ Mutyzm – brak kontaktu werbalnego przy nieuszkodzonych ośrodkach mowy.

– Lubię czystość – potwierdza swe zamiary Wania.

– Kupiłeś już bilety? – pyta ojciec.

– Aha, lecę za dwa tygodnie.

Pojawia się mama ze szklanką pełną złocistego płynu.

– Ty oczywiście będziesz znów na mnie krzyczał, ale już wiem, dlaczego TAK się stało.

– No dlaczego? – pytam apatycznie, żując sernik. Zaraz się zaczniesz gadać o przyczynie Wani choroby.

– Na jego rodzinie ciąży przekleństwo! – powiada mama, wskazując na tatę. – Wśród jego przodków byli czarownicy.

– No, zaczęło się... – przeciągle westchnął tata i klepnął mnie w kolano.

– Do tego Lena miała jakiegoś Andrieja, który ją kochał i rzucił na nią urok.

– Jaki znów Andriej? Po co miałby rzucać urok?

– Fiedia, chociaż ty mógłbyś nie reagować?! – tata się denerwuje, że będzie kolejna sprzeczka.

– Nie wiem, jaki Andriej! Wahadełko mi powiedziało. On tak z zazdrości.

– Słuchaj, minęło piętnaście lat! Piętnaście... O jakim bogu ty mówisz, skoro nie ma w tobie ani odrobiny pokory?! Przecież nikogo nie słuchasz, prócz siebie! Wszystkim chcesz rozkazywać...! Co tak śmierdzi?

Mama spojrzała na mnie oczyma odrzuconej świętości i wypiła zawartość szklanki.

W pierwszej chwili nie zdarzyło się nic dziwnego, tylko jej twarz się wykrzywiła. Niby nic dziwnego, rycyna to nie smakołyk. Potem jednak cała jakoś poszarzała i spojrzała na nas szeroko otwartymi, szalonymi oczami. I dziwny zapach się nasilił...

– Co ci jest? Poklepać po plecach?

Zamiast odpowiedzi mama wydała z siebie jakiś dziwny szloch.

– Mamo, co ci jest?! – Poderwaliśmy się.

– Źle widać...

– Co źle widać?!

Szklanka upadła i potoczyła się po podłodze werandy. Mama zaczęła się osuwać. Ledwo zdążyłem ją złapać i padłem na kolana pod ciężarem jej ciała. Mama łapie powietrze ustami.

– Co się z tobą dzieje?! Co czujesz?! – Jestem pewien, że to jej kolejny wybryk: patrzcie, jak przez was cierpię.

– Ja nic... nie widzę... wezwijcie karetkę... – Czuć od niej ostrą woń apteki i szpitala. Co to za zapach? Przecież rycyna tak nie pachnie...

– Jasna cholera! Pogotowie... – mówię, wciskając drżącymi palcami klawisze telefonu. – Gdzie jest ten numer pogotowia?! Co wypiła?!

Tata wbiega do domu, słysząc stamtąd hałas przesuwanych krzeseł, brzęk naczyń. Wraca z fiolką i krzyczy:

– Dlaczego tu jest napis olejek kamforowy?! Przecież piłaś rycynę!!!

– Ty mi dałeś... wody... – chrypi mama.

Wszyscy naraz chwytamy ze stołu czajnik z przegotowaną wodą... Podnosimy dziubek do jej ust... Krzyki ojca i Wani, szloch mamy i moje myśli zlewają się w ogólny zgiełk. „Jak mogłem ci to podać?! Karetka...!”

Późniejszych zdarzeń do tej pory nie mogę sobie w pamięci odtworzyć. Dopóki dzwoniłem na pogotowie, próbowaliśmy napoić mamę wodą. Straciła przytomność. Przez telefon powiedzieli, że lekarz przyjedzie najwcześniej za godzinę, że przy zatruciu olejkiem kamforowym potrzebne jest szybkie płukanie żołądka. Pamiętam, że postanowiliśmy sami zawieźć mamę do szpitala, zanieśliśmy ją do mojego samochodu, tata jeszcze odepchnął nogą konewkę... Wtedy mama nagle cała się wygięła i umarła... Tak nagle. Raptowne odwodnienie organizmu, jak potem powiedzieli...

– Ha-mam pod klucz – sylabizuje Wania, patrząc w okno. Przejeżdżamy obok hangarów obwieszonych reklamami. Żeby zdążyć przeczytać napis, Wania musi rozpląszczyć fizjonomię na bocznej szybie.

– Tato, a co to takiego ten hamam?

– Łażnia turecka.

– Ha-mam, ha-mam, hamam! – Wania przyswoił sobie nowe słowo, powtarza je bez ustanku. – A co znaczy pod klucz?

– To oznacza, że zbudują ci hamam od początku do końca i przekażą klucz. A ty będziesz mógł tam się chować. W tym hamamie.

– W hamamie – powtarza Wania. – Hamama!

Słowo to bawi Wanię, smakuje je, wymawia na różne sposoby. Cienkim głosem, basem, rozciągając litery i na odwrót, trajkocząc: – Hamama, ha-a-a-m-a – a-m-m-m-a-a-a, hmama!

Kierowca, małomówny ponury typ, podgłośnia radio. Wania przyjmuje wyzwanie:

– Hamam, hamam, hamam!!! – drze się w kierunku kierowcy.

– No już dobrze, Wania, hamam to hamam – próbuję uspokoić syna.

– Hamam! – złowieszco trąbi mi w twarz, robiąc wielkie oczy.

– Hamam – prześmiewczo powtarzam w odpowiedzi, rozciągając przy tym kąciki oczu. Że niby jestem Chińczykiem i próbuję naśladować akcent.

– Ciszej tam! – nie wytrzymuje kierowca, ściągając usta, jakby zamierzał splunąć.

Robię minę, jakbym się przeraził, Wania chichocze. Pozostałą drogę pokonujemy bez przygód. No i już jest stary płot naszej daczki.

– Proszę się tu zatrzymać – mówię kierowcy. – Ziemia jeszcze nie zamarzała, ugrzeźniemy.

– Otwórz bramę – z irytacją burczy kierowca.

Wzruszam ramionami. Możemy przecież przenieść nasze rzeczy z samochodu do domu, nie wjeżdżając na wilgotną ziemię z kępkami trawy. Chociaż jest początek grudnia, jest ciepło jak w kwietniu.

– Ugrzeźniemy, już kilka razy tak było.

– Dam sobie radę! – Kierowca z trudem nas znosi. W jego oczach jesteście jak te dwie do niczego się nienadające pokraki. Skąd mamy wiedzieć, przejeździe czy nie!

– Nie trzeba jechać, koha będą buhsować – wtrąca się Wania, kalecząc uszy. Zawsze tak mówi, kiedy się denerwuje.

Kierowca wydaje z siebie głuchy pomruk.

– Dobrze, Wania, wujek wie lepiej... Wsiadamy.

Wania znajduje klamkę, ciągnie do siebie, drzwi się otwierają. Posapując, wytacza się z samochodu.

– Tato, tu jest mokro!

– Pewnie, że tak. Weź klucz, otwórz dom.

Kierowcy ciężarówek to ludzie szczególnie, wszystko wiedzą najlepiej. Pamiętam, jak byłem jeszcze dzieckiem, i rodzice zamówili furgonetkę, żeby przewieźć stare meble. Kierowca nie posłuchał mojego ojca i trzeba było wezwać traktor, żeby wóz wyciągnąć. Przed pięcioma laty, kiedy remontowali fundament, wbrew naszym ostrzeżeniom, wywrotka z piaskiem przyjechała w czasie deszczu i ugrzęzła do wieczora. Trzeba było wykopywać wszystkie cztery koła.

Zdejmuję zimną kłódkę z bramy. Furgonetka wali wprost pod dom. Przed samą werandą koła grzęzną. Kierowca dodaje gazu. Koła się pogrążają w grunt.

„Jeszcze jeden mądryła” – pomyślałem sobie, niespiesznie przechodząc obok.

Kierowca wyskakuje z szoferki i ogląda koła, które w jednej trzeciej pograżyły się w mokrej glinie.

– Najpierw rozładujemy, potem zajmiemy się samochodem – nastal czas, żebym zaczął dowodzić. W końcu to ja płacę za dostawę i rozładunek.

Szofer ze złością spluwa. Dawno miał na to ochotę. Odrzuca plandekę i zaczynamy rozładunek – jakieś meble z babcinego mieszkania. Dwa stare ciemnobrązowe łóżka, wielkie mętne pęknięte lustro, taboret, lampę podłogową i rumuńską komodę z wysuwającymi się szufladami. Mam zamiar rozłożyć w nich różne narzędzia – kombinerki, śrubokręty i młotek.

Biorę zagłówek jednego z łóżek, wchodzi po schodach, przechodzę przez werandę. Wania wciąż jeszcze grzebie się z drzwiami.

– Tato, zamek się zepsuł!

– Dajże. – Stawiam zagłówek na podłogę i, napierając na drzwi ramieniem, przekręcam klucz. Drzwi ustępują.

– Trzeba było trochę popchnąć...

Zawsze mieliśmy z tymi drzwiami problemy. Kiedyś przyjechałem tu z przyjaciółką. Zapowiadał się romantyczny weekend. Ale nasze plany o mało nie legły w gruzach: podłoga werandy się wypaczyła, szeroka deska podniosła się ponad próg i drzwi przestały się otwierać. Trzeba było przez cały weekend wchodzić do domu przez okno. Zresztą nieczęsto opuszczaliśmy sypialnię. Teraz nic takiego się nie zdarza, rodzice zrobili remont fundamentu i podłoga już się nie wypacza. Po prostu drzwi są stare i kapryśne.

Wchodzimy do chłodnego ciemnego domu. W nos uderza ostry zapach jabłek. We wrześniu rozłożyliśmy z Wanią zebrane owoce na podłodze i teraz wozimy po trochu do miasta.

– Otwórz okiennice – wydaję dyspozycję.

Przeciska się kierowca z komodą w objęciach.

– Gdzie stawiać?

– Tu, w kącie – wskazuję miejsce pod ścianą, pod wyblakłą reprodukcją Renoira. Obnażona kluseczka siedzi na skotłowanej pościeli półprofilem do widza. Wszystkie kolory, prócz niebieskiego, wypaliły się jeszcze przed moimi narodzinami. Najwidoczniej niebieska farba była w radzieckich drukarniach najtrwalsza. Dziwne, że nie czerwona. Z twarży i uczesania kluseczka

przypomina moją mamę; w dzieciństwie sądziłem, że to jej portret. Naszły mnie wspomnienia, ale szybko je ucinam, chowam do betonowego worka jak radioaktywne odpady i wrzucam do wyobrażonej przepaści.

W jakieś dziesięć minut przetaszczyłem z kierowcą wszystko do domu. Rozliczyłem się z nim, a on wrócił do półciężarówki rozstrzygać, jak się wygrzebać z rozmokłego gruntu. „Sam się w to wpakował! Mówiłem – zostań na drodze, a on – »nie«. Tylko trawnik przeorał”...

Nigdzie nie widać Wani. Jedna z niebieskich okiennic jest uchylona, pozostałe zamknięte. Uciekł, kiedy rozładowywaliśmy samochód. Znowu sterczy przy drodze i zbiera różne różności. Pobocze jest jak brzeg morza: zawsze można tam znaleźć coś ciekawego. Kawałki reflektorów, kołpaki na koła, a jak się powiedzie – nawet całe lusterka boczne. Wania już zebrał imponującą kolekcję podobnych znalezisk. Upiera się, żeby ją przewieźć do miasta, a ja robię wszystko, żeby te „skarby” zostały tutaj, w komórce.

Szczękam okiennymi ryglami, szarpnię posklejane ramy okienne, otwieram kłódki na okiennicach, które szeleszczą starą farbą, opukuję ościeżnice. Przyroda zredukowała swą wielobarwność do odcieni brązu i fioletu. Ziemię naszkicowała zeschlą trawą. Pnie sosen i osik oddychają aksamitną wilgocią. Są jakby wycięte z szorstkiego papieru i naklejone na pejzaż. Latem drzewa wyschną na słońcu, zrudzieją, ukażą się zmarszczki i pęknięcia, staną się podobne do ludzi, którzy pożegnali młodość. Na razie jednak, pomyliwszy zimę z wiosną, są jeszcze delikatne i wrażliwe. Wśród gałęzi sroki migają ciemnoniebieskimi, jedwabistymi piórami. Z drugiego okna widać chylącą się szopę z przystawioną do ściany drabiną i sąg drewna. W parowie, za którym jest ulubiony przez Wanię zakręt drogi, rosną wierzby. Ich gałęzie-witki zlewają się w mgiełkę. A na wprost werandy, grzęznąc odrobinę przodem w gruncie, stoi półciężarówka. Kierowca wykopuje koła.

Stawiam czajnik na płycie i zaczynam rozpalać piec. W domu jest centralne ogrzewanie, ale bez ognia – to żadne letnisko. Napawam się rozpalającym się ogniem, wtem widzę na jednym z polan miotającego się pajęczka. Biedak ukrył się w szczelinie, a teraz próbuje się ratować. Wyciągam rękę, żeby wyszarpnąć polano z pajęczkiem z paleniska, ale ten nagle skacze w samo piekło.

Za oknem nadciąga wczesny zimowy zmrok. Półciężarówka rozpaczliwie buksuje. Zamykam palenisko i wychodzę pomóc kierowcy.